

WIDNOKRĄC

51 (753)
20 grudnia 1983 r.
RZESZÓW

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wiesław Kot

Prośba

nie słuchajcie mnie
moje słowa nikogo nie wybawia

nie patrzcie na mnie
moja twarz
w niczym nie przypomina
twarzą ludzi
oddających swe ciała na ulicach

nie chwalcie moich uczynków
nie odetnij pepowiny
nowo narodzonym echom

nie płaczcie nade mną
pełnej nocy
czterech białych aniołów
przenieście mnie na płótnie
w bezpieczne miejsce



Fot. CAF — STANISŁAW MOMOT

Włodzimierz Kłaczyński

DISCO

Najpierw przyszedł Mundek Cui, potem Jastrzebski, a na końcu Piętek Sowa, bo jak już całkowicie rozkopane i kładkę na potoku zdjęto, więc musiał kilometr drogi nadłożyć.

Posiedzieli chwilę w kuchni na dole, ale matka Andrzeja złości zaczęła pokazywać, więc poszli na górę do Kaszelańców i Helce kuchnię zastąpił.

Dobry humor widocznie miała siostra Andrzeja, a może to, że Mundek Cui zaraz do niej poszedł i w ręce ją pocałował, na przywitanie, spowodowało, że Helka zawsze zgrzyliła i surowa, nawet jeśli otarła i kiedy Jastrzebski wytrzymała zia paska fioletowych spodni pół litra Bałtic-podka, postawiła kieliszki.

Wypili jedną kolejkę w milczeniu, aż przyszedł Jas i przysiadł się do nich. Wódki pić nie chciał, na żonę zerkał z obawą, wspominał, że do Krasnego jeszcze mu za interesem jechać, ale w końcu dał w siebie umusić tyka.

— Aleśta namolne — powiedział odychając z ulgi i wchając skórę.

— Oni namolne, a ty dupi — zerknęła się Andrzeja siostra. Niech cię miłcza słonie, znówu będzie...

— To znówu tyczyło się widocznie historii z ta Stela, bo Kaszelańcowa pientędzy przeboleć nie umiała i po nocech sierała w trynolty, więc Andrzej się najęty i na złość powiedział:

— Pij Jasiu! Jakby co, to imo powieść żeś jest moim sznaperem. Widzieli przecież milicjanci, kto kogo miał na zdieciu w parcie stół. A na końcu dwa kieliszki to nie do wyuczucia. Ziesz se listka bobkowego i diabeł nie poczuję.

— Akurat będą oni na ciebie i na twój listek bobkowy zważać! Polaci prawa i będzie jeździł na rowerze. A wiesz ile jazdy jest.

Kaszelańcowa zastąpił kieliszek reka, chroniąc go przed szulka butelki. Połknął się ociężałe, do lusterka podszedł, przyszedł, co mu się na brodzie zrobił, gniał.

— Kiedy jedziesz? — spytał Andrzej.

— A zaraz. Nie będę ludzi budził przedziec po nocy.

— To nas odwiedzić na Katy. Straż urzędna Awstrotek.

— Takie kolo... — powiedział z wahaniem Kaszelańcowa.

— No to co? I przyjeżdżasz po nas Jasiu.

— O jeszcze czego? Będę po nocy zastawiać!

Nie słuchali zrzędzenia Kaszelańcowej. Wychodzili po kole: Mundek ze stółu butelkę zapił, zakretek zakretek, kieliszka tylko siostra Andrzeja pilnowała i z reki mu wywracała, ale nie z gniewu i nawet chwile się jakby pomocowali w zbliżeniu.

— Na wieczne oddanie! Pićcie se z flaszkami — powiedziała i w plesy Mundka pochłama.

Na Katy przyjechali trochę za wcześnie i nawet chwile się naradzili czy nie wrócić. Po pierwsze nie była to żadna dyskoteka, chociaż na ręcznie malowanym afiszu jak byk na ukos pisało DISCO, tylko zwykła zabawa z orkiestrą i na razie gości było czterech paru na krzys, a luźnych dziewcząt i na lekarstwo.

Stali zmiechceni, a Mundek poleciał spenetrować co i jak. Wrócił z dobrą wiadomością:

— Bedzie zabawa na sto dwa! Jakby ludzie mieli nie przyjąć, to by tyle wódki w bufcie strażaki nie rozrabiali. I pivo jest.

— To czegoż tak pusto?

— Nabożeństwo mafajowe w nowym kościele. Po mafajowe to tu i palca nie wciśniesz.

— Długo Jasiu będziesz na Krasnym?

— Na Piętkim.

— Wszystko jedno.

— Ze dwie godziny. Jeden tam spadek z Ameryki dostał i myśln chce kupować. A ja znam taki myśln w sam raz...

— To zajadź po nas.

— A żeby was sparto z waszą zabawą! — powiedział Kaszelańcowa, a potem dodał: — Mnie to by poszło kawalerem być. Kaszelańcowa pojechał, a oni ruszyli się z miejsca i szli na salę, ale praktyczny Mundek zatrzymał ich:

— Co myślicie, że nam strażaki dadzą przyniesioną wódkę pić? Wypijmy to co mamy!

Przysiedli na kłoczach leżących kupa przy drodze, chusteczki popodkładali, odmierzyli pod palec, poszło. Posiedzieli przez chęć, a za ten czas świat podjechał duży i wysiadł z niego dyrektor Czyżek, a z drugiej strony jakaś babka niczego sobie, z tyłu zaś ten gruby kumpel dyrektora z wargami jak Murzyn, co armate dał Derveniom i jakaś mocna brunetka. Czyżek zruł okiem dookoła i zobaczywszy Andrzeja zamachał rękami:

— Dervenie nawet przyjechali! Poszalejmy!

Tak jest panie dyrektorze — powiedział Andrzej.

Szybko podniósł się z belek i podszedł do samochodu. Podali sobie ręce z Czyżkiem i tym od armat, a te baby stały i obdarzały go wymiślnymi spojrzeciami. Andrzej też popatrzył po nich i z satysfakcją stwierdził, że ta brunetka ma wasz jak chionak, któremu się młody zarost tyje i na polkach baki też niesporze. Czyżek po powitaniach nie zatrzymał go, a ten od armat dzisiaj na zagranicęmone nie chciał wyglądać, bo co chwila mówił tery hel i liazuz mi. Podłeci byli oba z Czyżkiem, to pewnie. Strażak w czapce z okuciem po brzoju sra biała daszkiem, stojący przy drzwiach witał ich tam tak, że o mało przed nimi się klekał.

— Panie dyrektorze, stolika niłmuśe cały czas — mówił do Czyżka — Wszystko jest w należytym porządku!

Czyżek stanął, wzrokiem go zmierzył, palec do nosa podniósł, jakby chciał mu pogrozić: przyszedł wyszczajac kobiety przed sobą, a ten z grubymi wargami zaraz powiedział:

— Lery, lery hel — i ręce strażakowi podał.

Kiedy Andrzej wrócił na belki, Jastrzebski, który nie znośił kłodu się jeden nad drugiego wmuosi, zaszczylał:

— Jak ja tak! Ten ten ważny wice, to him zniłak. Jak by mi nie za to nie było, to him do rżnał, a tak nosem — suwał ręką tam i na powróć, jakby kopóć podrzy-

wał. — U nas w enerde, to też taki smone przyjechał i takiego filozofa pokazywał, ale niedługo był taki mądry. Mielimy tam jednego co sie z Niemką ożenił, paskudna była, ale to nie, to jak przyjechał tamten i zaczął tego śmieć, co to on nie jest a w świetlicy się rządzić chciał, to my tego Bzorka, znaczy się tego od Niemki na niego napuścili. Jak ten w świetlicy zaczął nas na krzyk, co on to nam nie pokaze, to ten Bzorek co w rzyja, a my uszyscy do niego, że niby bronieć go i kona i kopa... Krzyk, że Matko Boska i polcja. A tu ani w lewo, ani w prawo, bo ten co sie z tą Niemką ożenił, ani Polak, ani Niemiec. Polce już nie podlega, a Niemcom też nie, bo papierzy w drodze. Mówi: co do mnie macie? Aż sie te niemieckie policjancio śmiały. I po kościach sie rozeszło.

Złaził z tych belek, bo już się rojno robiło, wytrzepali chustki, poszli na salę. Ten przy drzwiach, biletu im sprzedał, ale parzył podejrzliwie, jakby nos w nogawkach miał, aż w końcu mruknął.

— No kawalerka, tylko spokój ma być.

— Co mnie pan nie znasz? Nostroszył się Andrzej. Dereń jestem z Glinnika...

— Może i znam, ale tak dla porządku — mruknął tamten i Andrzejaowi jeszcze bardziej się przypatrzył, widocznie nie bardzo go znał.

Andrzej po Marlboro sięgnął, zapalił, strażak też, chociaż służbiście nie stracił.

— Co ten dyrektor taki rządzić? — spytał Jastrzebski, który od pierwszego spojrzenia nie mógł Czyżka znieść.

— A z eskneru widzieli — powiedział strażak. — Za góra u nas baraków nastawiano, świat do usranie śmierci... W gazetach o nim pisali! Jak chce, to uszyscy zalatni.

— Nie takich mądrych widzieli... — zaczął Jastrzebski, ale Andrzej przerwał mu:

— O mnie też pisali! Jak zjad młodych rolników był w Chodczy, pół roku do tyłu.

Nabożeństwo już się widocznie skończyło, bo na drodze kupa ludzi się pokazywała i uszyscy waliło pod górę do domu strażaka. Zapiłała od sukienek dziewczęta i kobiety, wlec Cul lusterko i arzebieł wujak z tylniej kieszeni spodni i do okna podszedł, a Andrzej, Jastrzebski i Sowa poszli szybko do bufetu wiedzac, że za chwile i palca tam nie wbią.

Zatenczas orkiestra zagrała, Piętek Sowa wypiłkował dostal, ręce odstawił od ciała, napuścił się, ramionami ruszył, jakby na kół między łopatkami czochrał. Andrzej tracił Jastrzebskiego, wiedzieli, że zaraz Sowa w tany pójdzie, a na pewno nie z najładniejszą dziewczyną, tylko jakąś zaraza, o której potem niestworzone rzeczy będzie opowiadał i urade jej wychylał. I rzeczywistość, pare chwile nie minie, a Piętek już nonosto, chudziła jakaś złota, mizerota biedna w hardowej sukience, płaską jak decha i od razu zapiłał jak pies na włosie, wyciął ją i sam podrygnął, a że łoku nie było, to mógł mu się do woli przypatrzeć i pójmiać. Mundek też przyszedł, wodził oczami po sni, wypruwał; Mundek tańczył niewiele i jak z laski. My nie tanceru... — mówił.

Gospodarzom zabawy nie bardzo widocznie było po myśli tak na sucho rozpoczynać, więc młody jakiś podszedł do orkiestry, zagadał do nich, a ci przestali grać, ale nie razem tylko pokolei i wyszło to jak nosem po szkło. Wtedy znówu tary im coś powiedzieli, a perkusista zapamiętał palczkami szybkim werblem, brzęknął w

Anna Kryda

BABCIA

Pani Babcia — jak nazywają ją miejscowe dzieciaki — mieszka na 30 metrach kwadratowych w bloku zbudowanym w pierwszych powojennych latach. Pani Babcia parę miesięcy temu wkroczyła w 72 wiośne swojego życia, ale energii i zaradności mógłby jej pozazdrościć niejeden. W skromnym pokoiku Babel na jednej ze ścian rozpięta się wyszyna, paradna, trzydziściu dębowa szafa, na ścianie kolorowy kilim, a na nim w zupełnej harmonii landszaft zachód słońca nad morzem przedstawiający i świeci pańscy zafrasowani wiece. Pani Babela nieźle sobie radzi, nie potrzebuje opiekunek społecznych ani domowych pomocy. Sama sprzątnie, zreszta nikt tu jej przecieć nie nabrudzi, sąsiadka za niewielką opłatą, a czasem i za dobre słowo okna pomyje. Cztery lata temu było o wiele gorzej. Trzeba było na wysokie trzecie piętro nosić węgiel, wynosić kubły z popiołem. Radziła sobie jakoś, czasem pomógł sąsiad, zreszta była przecieć o te pare lat młodszą. Nie, na sąsiadów złego słowa powiedzieć nie może. Uczynni ludzie. No, może nie wszyscy, naturalnie, ale przecieć nie ma idealów na tym niepewnym świecie. Po przerowadzonim nie tak dawno kapitalnym remoncie bloku i zainstalowaniu c.o. Pani Babela nie ma powodów do narzekania. Nawet koleżki polubiła, bo to zawsze będzie się chwile między ludźmi, porozmawia. Skromna ma emerytura, ale też nie ma za wielkich wyznań, jakoś wiąże koniec z końcem. Pewno, że na wakacje też nie stak, ale kien dził na nie stak?

Maria P., lat 72, nie nawykła do wygod. Miała zaledwie 10 lat, gdy osieročila ją matka, po której pozostała półtarka już bardzo fotografia i zaledwie strzępy wspomnień. Maria była najstarsza, Kazik miał 8 lat, Józio 5, Tereska 4. Pięć lat później i ojciec przemieł się do wieczności. Maria nie mając wyboru musiała zastąpić rodzinstwo rodziców, stworzyć w miarę normalny dom. Dla 15-latkii nie było to łatwe zadanie. Imiała się różnych zajęć, radziła sobie jak mogła, dalsza rodzina pomogła trochę. I tak mijaly lata. Rodzinstwo jedno po drugim wyfruwalo z rodzinnego domu, porozjeżdżalo się po Polsce. Maria została sama, ale wrócić i do niej uśmiechnąć się los. Do sklepiku, w którym sprzedawała, często przychodził przystojny młody człowiek. Od słowa do słowa, od spojrzenia do spojrzenia, od uśmiechu do uśmiechu zawiązała się znajomość, sympatia, wrócić narodziło się uczucie. Gdy w czerwcu 1939 roku, w kościele Matki Boskiej Saletyńskiej brali ślub, żadne z nich nie przypuszczalo, że nad Polską, nad Europą gromadzą się czarne chmury.

— Nie, nie chcę wspominać okupacji — mówi dziś Maria P. — to były straszne lata. I mimo że unijnoję już tyle czasu, wciąż widzę moich braci i siostry. Żadne z nich nie przeżyło. Ciele szczęście, że mój mąż jakoś przetrwał, choć nieraz drżał o niego, chodzili od okna do okna, wyglądał, czy nie wraca. Mąż pracował wtedy w zakładzie Flug-Motoren-Werk, czyli dzisiejszej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego. Ostatnio, gdy słucham radia, czy też przeglądam prasę, odżywiają me młote tamte chwile. Znow się boję. Nie, nie o siebie, ja i tak już jestem jedna noza na tamtym świecie. Boję się o moje wnuki, ich przyszłość, ich życie.

W 1941 roku przyszła na świat Hania. W 1946 urodził się Marek. Najmłodsza jest Basia — rocznik 1949. Hania po mamie przejęła smykalkę do handlu, ukończyła zasadniczą szkołę handlową, jest ekspedientką. Marek ma wykształcenie średnie, jest technikiem budowlanym. Najstarszej ułożyło się Basie, ukończyła polonistykę. Jest jedynym magistratem w rodzinie — co nie bez dumy podkreśla jej matka. Maria P. zreszta zadowolona jest z całej trójki. Cieszy się, że jej dziećmi dobrze się żyćie ułożyło. Smutno tylko, że żadne z nich nie zostało z nią, w Rzeszowie. Ale rozumie to. Żona idzie

za mężem, mąż za żoną. Takie jest prawo życia. Ona już swoje zrobiła, wychowała dzieciaki — jak myśli — dobrych ludzi.

Hania mieszka w małym miasteczku gdzieś pod Szczecinem. Dla Marka rodzinnym miastem stał się Poznań. Baszę poniosło aż do Suwałk, gdzie uczy w miejscowym liceum. Póki żył Stefan, mąż Marii P., nie odczuwała ona zbyt wielkiej cizy, która zakrada się do domu, gdy zabraknie w nim nagie gwaru dzieci, nawet tych już dorosłych, ale zawsze dzieci. Dwa lata temu, wiosną pożegnała Stefana na zawsze.

— Najgorzej były moje pierwsze samotne święta — mówi z drżeniem w głosie. — Dzieci przyjechać nie mogły, zreszta święta 81 roku nie sprzyjały odwiedzinom, przyjazdom z drugiego końca Polski. Nikt nie wiedział, co się jeszcze zdarzyć może.

Przeplakałam wigilijny wieczór, po raz pierwszy w życiu, wyliczając okno, bo wtedy to różnie bywało, nie poszłam na pasterkę, nie ustawiłam w pokoju choinki. Patrzyłam na zegar, liczyłam godziny i minuty. Tak bardzo pragnęłam, by znow był zwykły, powszedni dzień, w którym brakowało czasu na jakoweś rozmyślanie, rozkwilanie się nad sobą, uzalanie, wspomnienie. W drugi dzień świąt sąsiedzi z naprzeciwka zaprosili mnie do siebie. Wahalam się, czy przyjąć to zaproszenie, nie chciałam się nikomu narzucać. Jednak poszłam. I proszę mi wierzyć, od razu poczułam się lepiej. Zrozumiałam, że nie jestem sama, że życiowych ludzi nie jest tak mało, jak można było sądzić.

Jak spędzę tegoroczne święta? Wiem na pewno, że tym razem przystroję choinkę i upiękzę sennik. Sąsiedzi już kilka dni temu zaproponowali mi, abym przyszła do nich na Wigilię, a potem bym wraz z nimi poszła na pasterkę, tak jak — tamtym roku. Ale nie wiem jeszcze co zrobię. Basia planuje, że może przyjedzie do mnie z Jurkiem, swoim mężem oraz z Dorotką i Kasją — moimi wnuczkami. Teraz czekam na list. Jeśli przyjadą, czeka mnie huk roboty, wystawianie po kolejkach. Muszę ich przecieć odnowiednio przyjąć, ugościć, a i dla dziewięćdziesięciu może być kolejkach wystoję...

Pani Maria uśmiecha się do własnych myśli. Tak bardzo chciałaby zobaczyć całą swoją trójkę Hania, Marka, Basie. Tak bardzo chciałaby przytulić wnuki, zobaczyć najmłodszą siostrę, znaną jej jedynie z kolorowego zdjęcia — prawnuczką Łukaszką. Boi się, że w przyszłym roku może już być za późno. Zdrowie jej wręczadnie dopisuje, ale, jak mówi, nigdy nie wiadomo, co komu i kiedy nisana. W każdym razie obiecuje sobie, że jeśli przyjedzie Basia z rodziną, to na zaslanym świętym, białym obrusie stołu, ustawi jedno nakrycie więcej. A już staje się ktoś samotny, komu trzeba podać rękę. Tak jak jej podano. Tak jak ja zwoziwoję sąsiadów, obcych w gronie, które rzeczy ludzi uratowała od pustki kompletnej, czarnych rozmyślań, niewiar, Dzieci sąsiadom, pani Maria raz jeszcze uśmiechnęła w ludzka bezinteresowność, urodzona optymista po raz kolejny uwierzyła w człowieka. I wie dziś, że jeśli nawet Basia nie będzie mogła przyjechać, nie zostanie sama. Po prostu za święto uniecznym sennikiem znouka do drzwi sąsiadów.

Pani Maria cieszy się w swoim środowisku duża sympatia. Zawsze uśmiechnięta, pogodna, mimo niełatwego życia, a może właśnie dlatego, wiele potrafi zrozumieć. Czasem kupi któreś z zapomnianych, zwróconych nasadek kawalek mięsa, czasem doniesie komuś dziećka. Sąsiedzi zreszta odzwalniają się jej tym samym. Właścicielka, nie było dnia by ktoś do niej nie przyszedł.

Blonkowe dzieciaki mówią na nią Pani Babcia. Uśmiecha się wtedy, choć uśmiech ten nie zawsze jest szczery. Czasem drobne ukłucie w sercu, przypomina jej rodzony dzieci i własne wnuki. Wnuki, które ma, mała babusia prawie tylko z opowiadań rodziców i starych fotografii.



PORTRET SARMACKI

Tarnów, obok innych zabytków posiada (nieдавно odrestaurowany) piękny XV-wieczny ratusz. Mieszczą się tam sale ekspozycyjne Muzeum Okręgowego. Obecnie można obejrzeć stałą wystawę poświęconą XVIII-wiecznemu portretowi sarmackiemu.

Na zdjęciu: Fragmenty stałej ekspozycji XVIII-wiecznego portretu sarmackiego w tarnowskim ratuszu.

CAF — ANDRZEJ ŁOKAJ

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

Krystyna Świerzchowska

PUNKT OPARCIA

23 sierpnia 1980 Critot 2 wystąpił z premierą „Wielopola, Wielopola” we Florencji; zadziałała się ta premiera pod patronatem Teatro Regionale Toscano i Comune di Firenze — stąd wynika kierownictwo administracyjne Nunzio Giosseffi, stąd — w ekipie technicznej jest dwóch Włochów, a wśród aktorów jest ich aż pięcioro. Grają szarą piechotę.

We wrześniu 1980 Critot 2 zjawiał się w Edynburgu na Festiwalu Sztuki, gdzie otrzymał Mayor's Gold Medal.

W październiku 1980 „Wielopole” obejrzał Londyn i Paryż.

W listopadzie 1980 — Kraków, Warszawa, Gdańsk. Nagroda miasta Gdańska zbliża się w czasie z nagrodą Prowincji Florenckiej.

Cały rok 1981 Kantor grał „Wielopole” w świecie; w Mediolanie, Rzymie, Florencji, Genoi, Parmie, Genewie, Zurichu, Caracas i Madrycie — z tych dwu ostatnich miejsc przywożąc dwie nagrody.

W 1982 roku brał udział w dwóch festiwalach międzynarodowych — w Vitorii i w Guanajuato, odbył podróż do Meksyku i dał występy w głośnym Teatrze La Mama w Nowym Jorku.

W 1983 zagrał znowu parę spektakli w Krakowie, Warszawie, jeden spektakl w Wielopolu i dwa — w Rzeszowie.

„Idea Podróż leży u podstaw tej koncepcji teatru”.

W ten sposób Wielopole Skrzyńskie przewlokło się przez dwa kontynenty, na dwóch odbyło w umieraniu. Bo tego Wielopola już nie ma nigdzie; Kantor powołał do życia fantom, zjawę wywołaną z rezerwuaru klisz, z których składa się jego pamięć i stworzył akt teatralny.

Już bez mała 40 lat temu napisał:

„Teatr (budynek, scena, widownia), teren odwieczny praktykami zobojętniali i neutralizowali jest najmniej odpowiednim miejscem dla urzeczywistnienia dramatu. TEATR (dramat, sztuka, spektakl), w który mamy UWIERZYĆ, może zaistnieć jedynie w MIEJSCU, które nie jest dla niego w sposób usankcjonowany zarezerwowane”

Grał w malych salkach, na dworcach, w szatniach, pod gołym niebem, stwarzając nowy model struktury teatru, organizując przestrzeń, nienawładzając słowa premiera, broniąc się przed zinstytucjonalizowaniem, grając periodycznie, to znaczy nie funkcjonując regularnie.

„Montowanie spektaklu wynika z doraźnej konieczności wyrażania idei, które przez dłuższy czas narastają, dojrzewają, a w końcu domagają się uwewnętrznienia. Za każdym razem jest to rodzaj „kolejności kreacyjnej”. Z tego powodu nie częściej”.

Tak to trwa 28 lat w Critot, podczas których odbyło się osiem premier; trzytycyte byłyby powiedziec osiem kolejnych etapów tworzenia.

Ostatni, owo „Wielopole, Wielopole” w dziwny sposób powraca do źródeł tworzenia — czyli formowania się psychiki samego Tadeusza Kantora w ślebotkim dzieciństwie, w zalieviskim miasteczku gdzie żwił w symbolezie księdza z rabinem, wdowa po fotografii i dwaj wujowie — bliźniacy.

W Rzeszowie Kantor wspomina autentyczny porzecz swego wujka — księdza:

— Szli w kondukcje wszyscy księta z dziekanatu wielopolskiego — bo to był dziekanat w Wielopolu; my, dzieci, krzaliśmy obok oszuka. I nagle jak czarne ptaki, sunający księta, rozbiegli się po polach, kundukt żalobny w oczach toniał, bo okazało

się, że sto metrów za porzeczem księdza dziekana marszerował cały żydowski kahal, z torą oraz wszelkimi swoimi akcesoriami obrzędowymi. I ci księta katolicy poczuli się głupio, niewyrażnie. A to był do prostu bardzo uczciwy księdz i plebania stała obok domu rabina. I oni obaj — księdz z rabinem przez plot całe życie roztrzęśli w dyspacie teologicznej zagadnienia wiary. Więc jakże rabin nie miał odprowadzić przyjaciela w ostatniej drodze?

Księdz dziekan był bratem babki Tadeusza Kantora i dzieci nazywały go wujem, zachodzący na plebanie, księdz-wuj interesował się rodziną, dawał ślubny, wychowywał dzieci.

Po latach sześćdziesięciu księdz proboszcz Julian Śmietana powita swego przyjaciela Tadeusza Kantora per „mistrzu, sławny w świecie” i będzie słuchał w nabitym ludmi kościele wizji umierającego Wielopola, tego, które folklorystycznie już dawno umarło i które w rymach powtórzeń, wyjmując z pamięci klisze wspomnień, Kantor wskrzesił mocą twórczej wyobraźni.

W Rzeszowie Kantor, chytrenko się uśmiechając, powie jeszcze:

— Najstarsza moja siostra, ta sama, która ocalała szandar harcerek w Oświęcimiu i potem w Ravensbrück, owijając się wuf i która na Śląsku, gdzie żyła, jest uważana za bohaterkę narodową, powiedziała, że sprofanowałem rodzinę i obraziła się. Tymczasem jej, że to wcale nie tak, że tu bynajmniej nie o żaden życiorys idzie, kogo zresztą może obchodzić moja biografia, ale nie rozumiała. Co? ..

W odpowiedzi księdzu Śmietanie, który drękał z teatru „Wielopola” w Wielopolu pod kopułą kościółka, Kantor powiedział:

— Chcesz się, że mogłem ustawić ten pokój w tym kościele, bo traktujemy ten spektakl jak mszę i sprawy w nim dziejące się wybiegają w wysoki pulap spirytualny.

Sprawy rodziny Heleny i Mariana Kantora — rodziców Tadeusza są tylko jednym z trzech elementów przedstawienia; drugi element — to mitologia Ewangelii, trzeci — wojsko. I te dwa elementy, nakładając się na sprawy rodziny, dziejące się już poza pokójem, one właśnie tworzą ten wysoki pulap spirytualny nad biedną Helką, obudowaną rodziną i biedą z miasta, przybyłą w rodzinie — Marianem oraz nad poczerwim księdzem, który dźwiga krzyż wojny, rodzinnych niesnasek i ewangelicznego ukrzyżowania. A dzieje się to wszystko znowu wymieszane z dźwiękiem potężnego psalmu Dawida, śpiewanego przez autentycznych górali w kościele w Nidzicy — gdzie baby pod chórem poniekąd, a chłopcy jak baryny basują — z marszem „Szara piechota” oraz Scherzem szopenowskim, z tym fragmentem koledy „Lulajże Jezuniu”, co najpierw uległa transpozycji na Scherzo, a następnie z scherza wychodził zniekształcona, za serce chwytająca melodii starej katarzynki Wujka Zesławca. Psalm Dawida, Scherzo Chopina i marsz „Szara piechota” nakładają się na niktly tekst, jego powtórki, na gesty aktorskie, na ruch manekinów, i tworząc genialną całość, są intelektualnym komentarzem oraz dają pulsowanie rytmów.

Recenzenci próbują opisać drobiazgowo przedstawienie Kantora, szukają słów, na słowa przenoszą obrzydzenie. Jest to zabieg historycznie uzasadniony, taka próba zapisu przedstawienia, bo Kantor już zaczyna obmyślać etap dziesiąty i „Wielopole” zniknie niedługo całkowicie.

Ale jak przełożyć na słowo spektakl, w którym literatura (tekst) jest jedynie szczytkową?

„Teksty są tworzone w czasie prób, nie reprodukują się tekstu sztuki”.

I dalej z technicznych niedyskretni autora:

„Tworzę sam spektakl. Ja go w oróle nie piszę, tylko tworzę go teatralnie, wprost na scenie”.

Na pchlich targach włoskich szukał Kantor autentycznych mundurów, butów, czapkę wojska austriackiego. Znalazł nawet

czapkę przestrzeloną dwiema kulami — czapkę ofiarę pierwszej wojny światowej.

Autentyczne są nazwiska rodziny. Wujka Olesia i Karola — grają autentycznie bliźniacy, bracia Janicy.

Rekrutów — rmi grają Włosi.

Stanisław Rychlicki — Księdz ma jeszcze alter ego w postaci dwóch manekinów, tak budzących podobnych do aktora, że Olek i Karol zadają ciągle pytanie, który „jest falszowany”.

I co z tego, że tyle spraw jest autentycznych, skoro nie o autentyzm tu idzie, ale o pulap spirytualny, o prawdę sztuki, o jednolitość artystyczną.

A ten autentyzm dopiero wtedy staje się prawdą, kiedy pisk ludzi w pokoju przykrywa potężna fala Dawidowego psalmu, bądź drżący dźwięk rozklekotanej katarzynki, a na szare mundury, szare twarze ekszhumowanych rekrutów — wylewa się patos słów marszu „Szara piechota”, wyrasta krzyż nad nimi z ukrzyżowanym manekinem księdza, bądź sami krzyżują sinobrodęgo Adasia w wyrobionym ubranku, bądź kiedy wspiera ich, aktorów, przedmiot: walizka, drzwi do wyjścia i do wejścia, poruszone na rolce wspomnień i na rolkach jedzące, biel ostro zaprasowanego obrusa, szare deski bydłowego wagonu, wszystko biedne, zużyte, odeszło w przeszłość, wskrzeszone — rozpadające się.

Był to przedmiot najprostszu prymitywny stary z jaskrawymi śladami zużycia wytarty przez długie używanie BIEDNY

W teatrze przedmiot przestal być rekwizytem, służył aktorowi w jego grze, po prostu BYŁ

ISTNIAŁ na równi z aktorem BYŁ AKTOREM! Przedmiot — AKTOR!!!

Można opisać ten przedmiot; czy można opisać aktorstwo przedmiotu? Byłoby to zabieg tylko niemożliwy, co jałowy.

Wdowa po fotografii wodzi przedmiot stary aparat fotograficzny, rekruci są ustawieni do zdjęcia; z aparatu w miejscu obiektywu wysuwa się lufa — głusa seria karabinowa — zamiast wyjętej kliszy spływa łasna po nabożach.

Ta sama wdowa — postująca śmierci, wiele pośmierne ciała; wykręca ścierka, ohyda, flaszasta, że śmierć skapuje woda — cały brud życia w małej kałuzi. W umarłym świecie — żywe przedmioty, żyłace przedmioty.

I śpiew. Potężny, zawodzący, rozbijający miąższo niebo wiara.

Aktor podmieniony manekinem, manekin spadający ruchem żywego człowieka do marszu „Szara piechota”, manekin żyje. Niemożliwe staje się możliwe, rozmywała się granice możliwego i niemożliwego.

O czym jest spektakl?

O umarłym świecie, który cierpiał.

Maria Kantor — żona autora — gra dwie role: kate i ołary.

Jest Himmlerem i Rabinikiem.

Sieje śmierć i jest obiektem śmierci. W sztuce nie ma granicy; w teatrze idet można trzy razy być rozstrzelanym.

Może być wagon — grób, dantejskie piekło, niebieski czyściec, żołnierze jadą na front w bydłowym wagonie, inny żołnierz spły do tego odjeżdżającego w historii wagonu, na ludzi w mundurach, łopate za łopatą cementarnego piachu, a rodzina wymachuje podgónalnymi chusteczkami; kwadratonia osacza nas marszem „Szara piechota”.

Kantor gra na widzu obrazem, muzyka, rytmem, przedmiotami, ludźmi — symultannie.

Wielki Dozorca pilnuje spektaklu, bierze udział, wylizując takt, jak drygrent, by nagle podbiec i po ludzku pomóc wstać żonie — zastrelonemu Rabinikowi. Gdzie tu kończy się aktor, zaczyna zwykły człowiek, w którym miejscu urywa się fikcja — zaczyna realium?

To wszystko jest oczywiście wylizone w ulamkach sekundy, improwizacja skończyła się z momentem wpuszczenia widzów; teatr jest maszyną, suma sprawności, podporządkowana idei prawdy artystycznej.

Dlatego, wbrew pozorom, spektakl Kantora wcale nie głosi idei pacyfistycznej, nie jest antymilitarny, polityczny, religijny czy humanitarny. On odkrywa prawdę wspomnienia o ludziach, zanikających w woine i religii, ludziach, których nie ma, a jak byli — to po prostu spełnił idee życia Kantor mówi o umarłych. Ze z tych cieni wylanajają się żywe idee — to już przymiot idei, które nie umierają. I naszych refleksji.

„Ważne jest dla mnie w tym momencie scalenie

wielkiej mnogości propozycji odczuwalnych aby u widza powstała niemożliwość ograniczenia i odczytania całego „z pozycji widza” odbioru u widza dokonuje się w tym wypadku

poprzez refleksję tworzącą się z korelacji przedmiotów i czynności które nie są „działem” lub materializacją, lecz „punktem oparcia” dla procesu myślowego i spirytualnego”.

Tak to jest i nie chce być inaczej. Przy najmniej dla mnie.

I w tym miejscu słowo przestaje być użyteczne.

Jan Maria Gisges

Dom opodal rzeki

I tu dotarł chrzest gąsieniec; dotykam rozstrzelanych murów ceglanych przyschniętych listków

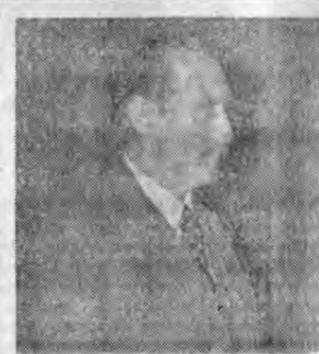
Moje miasteczko grzebie się w wiklinie

nad zieloną rzeką niby kokosz na piachu nagrzanym, o młodość odległe i jego okna zamysłone mają jasne żrenice pelargonii.

Rozstąpiły się we mnie drzwi widziam, co już nie pachną, wdieram się na nagłe pola lemiemsem jesienn, wracam na wysokie schodki nogi liczące.

Wstępuję, ażeby nie ominąć siebie.

Nisko, 20 sierpnia 1969



JAN MARIA GISGES NIE ŻYJE

W latach 1951—1975 był sekretarzem Zarządu Głównego b. ZLP. Po jego rozwiązaniu należał do grupy inicjującej odtworzenie organizacji pisarskiej, a na Zjeździe członków założyli wybrani zostali jednym z wiceprezesów Związku Literatów Polskich.

Srodowisko literackie naszego regionu darczy Zmarłego szczególnie pamięć. To także dzięki Jego staraniom powstał w

roku 1967 pierwszy Oddział ZLP w Rzeszowie. Później przez wiele lat towarzyszył naszym poczynaniom, uczestniczył w imprezach literackich, był zwolennikiem i współorganizatorem spotkań pisarzy wywodzących się z naszego regionu. To on rzucił hasło powołania „Bractwa Juhińskiego”, grupującego ludzi pióra zwiazanych urodzeniem, a także twórczością, z południowo-wschodnimi województwami Polski. Wybraliśmy Go Wielkim Mistrzem Bractwa podczas spotkania w Julinie.

Ostatni raz odwiedził Pisarz swoje strony rodzinne kilka tygodni temu. W dniu Święta Zmarłych był na grobach swoich bliskich. W „Widokrogu” ukazało się wówczas Jego zdjęcie u grobu dziadka — uczestnika powstania styczniowego. Nie nie wskazywało wtedy, nie wskazywało także w ubiełym czwartku, na to, że śmierć tak nagle wyrwie Go z naszego srodowiska, przerie w zawsze Jego działalność społeczna, realizację zamierzeń twórczych.

Zachowamy Jana Marię Gisgesa w pamięci jako człowieka skromnego, wrażliwego, życzliwego i uczynnego, żarliwie oddanego kulturze i literaturze polskiej, działającego dla dobra ludzi pióra.

ZBIGNIEW KREMPF

Jan Grygiel

CZY POWSTANIE MUZEUM HISTORII RZESZOWA

Czy w Rzeszowie powinno powstać muzeum dziejów miasta ukazujące szeroko jego historię od najdawniejszych czasów? Oczywiście — tak!

Argumentów na poparcie twierdzącej odpowiedzi na to pytanie nie brakuje. Przemawia za tym fakt, że jest to miasto liczące kilka wieków, o bogatej a mało znanej historii, które wkrótce będzie liczyło ponad 150 tysięcy mieszkańców. Co najmniej dwie trzecie z nich to ludność napływowa, nie związana z tradycjami i przeszłością Rzeszowa, co nie sprzyja jej społecznej i kulturalnej integracji z autochtonami. Edukacja historyczna przybyszów, a przede wszystkim młodzieży, w tej sytuacji staje się konieczną a edukację tę najlepiej zacząć od miejsca, w którym się na co dzień żyje.

Czy są szanse na utworzenie takiego muzeum? Tak i to w dość krótkim czasie. Mógłby to być wydzielony oddział Muzeum Okręgowego pod nazwą Muzeum Historii Miasta Rzeszowa i Regionu. Rozmawiamy o tej sprawie z dyrektorem Muzeum Okręgowego Tadeuszem Aksamiitem i pracownikiem Muzeum historykiem dr. Janem Malczewskim. Zgadza się, że takie możliwości istnieją, że planówka jest prawie niezbędna w Rzeszowie i że czas podjąć odpowiednie działania. Trzeba na marginesie dodać, że Muzeum Okręgowo powstało przed laty z dawnego muzeum miejskiego, które zostało założone jeszcze w okresie międzywojennym.

Dobrym wykładem do działań jest przygotowywana w Muzeum Okręgowym wielka wystawa „Urbs Resovia”, która zostanie otwarta w styczniu 1984 roku. Wiele także pomogą w tej sprawie dwie następne ekspozycje, które zostaną zorganizowane w przyszłym roku: „Wyzwolenie Rzeszowa” (z okazji 40-lecia Polski Ludowej) i „Wojna światowa w Rzeszowie”. Ekspozycje z tych wystaw mogą stanowić podstawę zbiorów przyszłej placówki. Wrobmy jednak do pierwszej z nich. Ukazuje ona przeszłość miasta od czasów najdawniejszych w następujących blokach tematycznych: Rzeszów przedokacyjny (archeologicznie), początki miasta, właściciele Rzeszowa, władze miejskie, rozwoj terytorialny i przestrzenny miasta, ludność miasta Rzeszowa, rzemiosło i kultura materialna mieszkańców oraz wnętrza mieszczczyńskie z II poł. XIX wieku. A wiec zakres problematyki historycznej bogaty i dość wszechstronny. Ekspozycje, którymi muzeum dysponuje są liczne i bardzo interesujące. Znajdzie się między innymi stara broń, łącznie z działaniami i moździerzem,

kolekcja portretów Lubomirskich, najstarsze księgi miejskie, przywileje królewskie, dokumenty i pamiątki po władzach miejskich, zbiory ikonograficzne w postaci starych widoków Rzeszowa w malarskiej i graficznej, porcelana, mebla i wytwory rzemiosła z 18 i 19 wieku, stroje mieszczczyńskie, portrety, sceny rodzajowe z życia mieszczczyństwa i zabawy kultury materialnej rzeszowskich Żydów.

To oczywiście tylko część zgromadzonych materiałów. Zbyt niużące byłoby szerzej ich prezentowanie. Nie wszystkie stanowią własność Muzeum. Część z nich wypożyczono z Państwowego Archiwum Wojewódzkiego w Rzeszowie, część z kserokopii wykonano w Muzeum Narodowym i Biblioteki Muzeum Czartorwskich w Krakowie, w Archiwum Akt Dawnych i w Ossolineum, część portretów Lubomirskich wypożyczył OO Bernardyni z Rzeszowa.

Organizatorzy wystawy proszą także o pomoc mieszkańców miasta w organizowaniu tej wystawy. Muzeum chętnie zakupi lub wypożyczy stare publikacje związane z historią Rzeszowa, fotografie, rysunki, pamiątki, dokumenty związane z rozwojem przemysłu w mieście, wyroby biżuterii rzeszowskiego przemysłowców z tombaku, czy tzw. „rzeszowskiego złota”, fotografie lub dagerotypy dawnych burmistrzów miasta itp. Niechże to przyszłe muzeum powstanie przy pomocy, poparciu i życzliwej aprobacie rzeszowlan.

Przygotowywana wystawa stanowi pierwszy zarys stałej ekspozycji poświęconej dziejom Rzeszowa. Poszczególne jej działy zostaną rozbudowane w postaci osobnych wystaw. Z tych zbiorów powinno powstać oddział Muzeum Okręgowego, który należałoby zlokalizować w jednej z starych kamieniczek w Rybku po Jej uprzednim remoncie. Apeluję do władz miasta, by pomyśleły o inicjatywie. Sądzę również, że Towarzystwo Przyjaciół Rzeszowa sprawę utworzenia takiej placówki uczyni jednym z głównych kierunków swego działania. Dr Jan Malczewski ma już nawet wizję takiego muzeum, i dziwi w nim specjalistyczne gabinety, takie jak gabinet historyków, fałszerzy, numizmatów i medaliarstwa, archiwum naukowe z dokumentacją życia społecznego miasta oraz komórkę oświatową zajmującą się historią miast i dzielnic największymi Rzeszowa i regionu. Zycząc mu rychłego urzeczywistnienia tej wizji. Konkretne działania w tym kierunku, rozpoczęte wcześniej byłyby niekiedy akcentem obczewienia 40 rocznicy powstania Polski Ludowej.

Dzwońniatkowa szarpnęła się nagle, że omal się im nie wypruła, chociaż trzymali ją mocno. O Jezulu — jednaka, bo Andrzejski wbił jej palce w ramię i w szyję.

— Co się z nią szarpną? — powiedział Jastrzebski. — Skoczę po jej chłopca, ocudzę no i tu przyprowadzę, a ty ją potrymasz. A może już ją gdzie szuka? Ale będzie przy!

Dzwońniatkowa rozplakała się bezradnie. — Chamyl! Bandyt! — chlupala. — Munda! — Co chcesz? Bie się z nimi będę? Żeby się uszyły szcieteli. — Śmieł! Śmieł!

Andrzejski złościł się i trzępnął ją na piasek dlonia w policzek.

— Cicho! Albo dajesz tu zaraz, albo spronażymy tu wszystkich co trzą!

Umilkła: Płakała cicho. Andrzejski objął ją, nolażył. Jastrzebski wyciągnął papierosa, zagrzechał zapalnikami. Cui poszedł w dół, nie opadał się.

Pił plus przy bufcie trącając się tokami i ukradkiem rzucając spojrzem na stronę stolika, gdzie siedzieli mechanicy, kiedy Dzwońniatkowa upadła i zaczęła okładać swego chłopca. — Piłak wstrzemi! Góń! Wstaniesz ty! — wstała w punkt, szarpnęła za włosy. Kupa się zaraz zbila wolał, bo młodszy brat Dzwońniatki dotarł, strzelił ją aż nałasnole, jego nowu zajęł chęch z bólu, cioteczny. Dzwońniatkowej Charzycki. Dyrektor Czyżyk wraz z „rucio-nioval, Charzyckiego ciągnął do siołnego stolika, koniak mu nalewał, brata Dzwońniatki też strażki sławli umywało.

— Pódsiedzi — powiedział Cui.

— Jól przyjedzie...

— Doczekasz się go to? A tu ruch się robi.

— To chodźmy. Bo nam tu jeszcze co na garba muszka.

— Wolaj Pietrka.

Ja Kasztelaniec nie przyjechał i Andrzejski obiecywał mu różne rzeczy, kiedy go chwila musielł uszaktować z asztalą na poboże przed pedzacyymi motocyklami i samochodami. Muchotka swoje zrobiła i kto tam jechał to i śpiewał, a rzadko który nie na dwa głosy, żeby zaś śpiewać skroki to też nie każdemu jest przypominano. Blusiński Andrzejski i Jastrzebski podawali przykłady na zupełnie inny sposób postępowania kierownictwo w NRD.

— Zbył mu kurwa w oczy załutecz i nie blindował do końca, będzie jechał na blindzie żeby cię nie raził, bo myśli, że ci

FRAGMENT WIEKSZEJ CAŁOŚCI. WŁODZIMIERZ KLACZYŃSKI



NA EKRANACH

SAINT JACK

Jeśli gdzieś na świecie są miejsca, w których święci czuli się cokolwiek nieswojo...

W takim oto mieście reżyser Peter Bogdanowicz zakotwiczył opowieść o świętym Jacku...

Być może dlatego „Święty Jack” chwytą się jednego ze starszych zawodów świata...

Dodatkowym atutem Jacka jest jego jankesowskie pochodzenie...

tylko Jankes trafiają na orbitę interesów sympatycznego Jacka...

Dlatego nie zrażają go chwilowe trudności — nawet wówczas, gdy zostanie przez konkurencję brutalnie napiętnowany...

Pouczająca puenta na ten temat jest pewna anegdota opowiedziana pod koniec filmu...

Reżyseria — Peter Bogdanowicz.

T. GNYS

Pisty do przyjaciela

Powinni byśmy przyjechać do siebie, Przyjacielu, wspólnie rozciągnąć obrus...

Czy się zjedziemy wszyscy ze wszystkimi, czy będziemy mieć przy stołach tych, których chcielibyśmy...

U jednych będzie święto, u drugich — Drożdż Nieobecni, którzy nie dojadą, albo odjechali...

Będziemy śmiało koleżeń i wspominać inne wigilie, każdy ich zamagazynował kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt...

Ważne z życzeniami świątecznymi piszę Ci i to, żeby miły przypadek zagroził u tych przedświątecznych dniach u Twoim życiu...

— Na 23 uczniów w mojej I klasie choruje siedmiu — mówi nauczycielka Halina Sztydo...

W okolicznych wsiach: Białej, Malawie, Stocinie czy Matysowie wnoszą się niekiedy, obszerne obiekty, mieszczące wszystkie dzieci...

— Kto wie jakby było gdyby nie stan wojenny — mówi dyr. szkoły Marian Leś...

1 września 1983 roku worowadziły się do obiektu dzieci. Wnieśli oni do 5 salach lekcyjnych. Nadali piątą, szósta i ósma klasa...

W grudniu wzrosła frekwencja. Obecnie w kl. III choruje 5 uczniów na 25. — Na domiar złego dzieci dość masowo chorują...

czyżnie, otwartego na ludzi i ludzkie sprawy i potem przyszedł jeden moment profesorskiego rozgadania, jakie ludzki, gdy szerzej nieco rozwarłam oczy...

— Wie pani, dawniej rok był długi, bardzo długi, dzieliły go potężne obszary czasu; dzisiaj rok dla mnie jest mgiełką, dopiero był tamten grudzień...

— Znal mi było starego profesora choć był jeszcze, bo wiadomo też było, że będzie jeszcze bardzo niedługo...

— Piszę o świętach, których jeszcze nie ma, które będą za kilka dni i które są jeszcze niewiadomą...

Było ich kilkadziesiąt już za nami i są podobnie obchodzone, więc prawdopodobnie, stwo tak bliskiej przyszłości daje się złożyć...

— Zgodzi się z mną, że musimy dopuścić do głosu traf i że jeszcze jest nań parę dni? I wszystko się może w nich zdarzyć, i miłe, i niemiłe...

— Na 23 uczniów w mojej I klasie choruje siedmiu — mówi nauczycielka Halina Sztydo...

W okolicznych wsiach: Białej, Malawie, Stocinie czy Matysowie wnoszą się niekiedy, obszerne obiekty, mieszczące wszystkie dzieci...

— Kto wie jakby było gdyby nie stan wojenny — mówi dyr. szkoły Marian Leś...

1 września 1983 roku worowadziły się do obiektu dzieci. Wnieśli oni do 5 salach lekcyjnych. Nadali piątą, szósta i ósma klasa...

W grudniu wzrosła frekwencja. Obecnie w kl. III choruje 5 uczniów na 25. — Na domiar złego dzieci dość masowo chorują...

PREZENTUJEMY KWINTET SONORES

W ubiegłym tygodniu w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Rzeszowie odbył się piękny i oryginalny koncert...

ryrkowej: N. Rizola — „Fantazja”, J. Gade-tango „Jalousie”, Arama Chaczaturiana walc...

Mimo różnicy w nastroju i w cięzarze gatunkowym utworów, wszystkie wymagały wysokiej techniki wykonawczej...

Stare na nowe



GIELDA PIOSENKI

„MNIJ CZADU”...

...to jedna z podstawowych zalet X Gieldy Piosenki połączonej z Eliminacjami Wojewódzkimi VIII Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki...

ni rocka dość sprawiedliwie obdarzali oklaskami także i te odmienne gatunki...

W PRZEMYSKIM WUML

KATEDRA METODYKI

Doświadczenie wskazuje, iż czołowy aktywny partyjny nie może się obejść w swym oddziaływaniu ideowo-wychowawczym...

skład weszli doświadczeni katedry KW i wykładowcy WUML-u: Jerzy Kiełtyka...

Przyjmując powyższe założenie oraz odpowiadając na sygnalizowane potrzeby praktyki kierownictwa Wojewódzkiego Ośrodka Kształcenia Ideologicznego KW PZPR...

Aktualnie członkowie Katedry zajmują się problematyką hospitacji różnych form szkolenia partyjnego...

Z DZIAŁALNOŚCI ODDZIAŁU WOJEWÓDZKIEGO SAP W PRZEMYSŁU

Od ponad roku funkcjonuje w kraju nowa organizacja zawodowa — twórcza — Stowarzyszenie Autorów Polskich...

Na odbytym w dniu 23 listopada br. kolejnym zebraniu Oddziału skoncentrowano się na obok spraw organizacyjnych...

Mieczysława Teodorczyk

MARTWOTA I CIEPŁO

To, że Zalesie znalazło się w granicach administracyjnych Rzeszowa nie miało wpływu na rozwiązanie kwestii oświatowych...

W okolicznych wsiach: Białej, Malawie, Stocinie czy Matysowie wnoszą się niekiedy, obszerne obiekty...

— Kto wie jakby było gdyby nie stan wojenny — mówi dyr. szkoły Marian Leś...

1 września 1983 roku worowadziły się do obiektu dzieci. Wnieśli oni do 5 salach lekcyjnych. Nadali piątą, szósta i ósma klasa...

uczytelką Ireną Goryl mierząc temperaturę w klasach. Jest godzina dziesiąta trzydzieści...

— Na 23 uczniów w mojej I klasie choruje siedmiu — mówi nauczycielka Halina Sztydo...

W okolicznych wsiach: Białej, Malawie, Stocinie czy Matysowie wnoszą się niekiedy, obszerne obiekty...

— Kto wie jakby było gdyby nie stan wojenny — mówi dyr. szkoły Marian Leś...

tyczno-wychowawczymi. Nękały nas wyłączenia światła, zdobywaliśmy w wielkim trudzie pomoce naukowe...

— Nie możemy sami, na własną rękę przeprowadzić remontu ogrzewania — mówi dyr. szkoły...

— Mówi jeden z rodziców Andrzej Paśko: — Byłem rano w szkole, w klasach — 8 stopni ciepła...

Do 20 grudnia br. ma być uświetniona stolarka oświetlenia. W tym samym terminie przedyż się komin o 4 metry, z daniem fachowców...

— Sprawa jest bardziej skomplikowana niż można sobie wyobrazić, a co będzie jak nadbudowa kominu nie da nic...

zakoń, wzięło już 25 zastrzyków i uczy się w zimnej klasie.

— Co więc zrobić? — pytam raz jeszcze nauczyciela. Czy zamknąć szkołę? Nauczycielka fizyki Halina Dykiel: Nie ma sensu...

— Zamknąć — to nie jest rozwiązanie — mówią nauczyciele. Program jest przeladowany, czy na pewno zdążymy potem zrealizować...

— Nie możemy sami, na własną rękę przeprowadzić remontu ogrzewania — mówi dyr. szkoły...

— Mówi jeden z rodziców Andrzej Paśko: — Byłem rano w szkole, w klasach — 8 stopni ciepła...

— Sprawa jest bardziej skomplikowana niż można sobie wyobrazić, a co będzie jak nadbudowa kominu nie da nic...

TATO JA CHCĘ POCIĄG!

Swego czasu popularna była piosenka Wojciecha Młynarskiego, w której zapytywał: w co się bawić...

Na półkach stoją wiele zabawek pluszowych. Misie, wilki, pieski — od malutkich do wiekszych niż dziecko w wieku przedszkolnym...

Zniknęły już zabawki politechniczne i tylko czasem trafia się kolejkę „Piko” czy zdalnie sterowane samochody...

(Interpres) STELLA SAWAJNER